

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

Katowice, niedziela, dnia 27. lipca 1924 r.

Ku człowiekowi.

Tak, jak jak codziennie, stałem na przystanku tramwajowym. Wyległy całe mrowia ludzi po skończonej pracy. Każdy śpieszył do domu. Silny mróz podwajał szybkość ruchów. Dopadano do przystanku, zatrzymywano się raptownie i zwracano głowy ku nadciągającym tramwajom.

Ale pasażerów było zbyt dużo, aby mogli pomieścić się w kilku zbliżających się wozach. Wokół przystanku uformował się tłum oczekujących. Kurczono się z zimna, głowy wtlaczając mocno w kołnierze, a ręce w kieszenie.

Wiał mroźny wiatr, zmuszając skulonych ludzi do obronnego manewrowania plecami, do zajmowania się wyłącznie własną osobą.

Wraz z wiatrem, który ją popychał, szła zziębnięta, poprzykrywana łachmanami staruszka. Zimno zmuszało ją do wykonywania szybkich, nierównych, niezgrabnych kroków. Chciała od niego uciec, skryć się, ale troska nakazywała czynić jej coś innego. Dreptała więc nerwowo, pośpiesznie — bojąc się równocześnie poślizgnięcia.

Zmierziała ku nam. Gdy zbliżyła się o dwadzieścia kroków — spojrzałem jej w twarz. — Coś nieprzyjemnego, odpychającego było z tej twarzy. Odwróciłem głowę w innym kierunku, zapomniawszy rychło o przykrem wrażeniu.

Bo i cóż może obchodzić zwykłego mieszkańca wielkiego miasta skrzywiona twarz staruszki? Cóż może znaczyć wypadkowe zwrócenie uwagi na kogoś, kto za chwilę zniknie z przed oczu?

Przemknęła przez głowę jedna lub dwie myśli. Zakonkluduje sobie coś człowiek, określi, a właściwie skonstatuje jakość wrażenia, którego się natychmiast pozbywa — i zapomni.

Właśnie obserwowałem niecierpliwe tłoczenie się do tramwaju zmarzniętych mężczyzn i kobiet, gdy za sobą posłyszałem niewyraźne, poplątane, przerywane słowa, wymawiane drżącym, ochrypłym, przechodzącym w szept głosem. Raptownie odwróciłem głowę — i wzrok mój padł na widzianą przed chwilą twarz staruszki.

Twarz ta była zaiste straszna. Z pod podartej chusty, spadającej na czoło, sterczały w bezładzie siwe, omal zupełnie białe kosmyki włosów. Czoło koloru sino - czerwonego, głęboko zorane bruzdami, chyliło się ku przodowi, rozmyślnie jakoby zakrywając poza gęstymi białymi brwiami — oczy.

Staruszka wiedziała widać, że twarz jej przeraża, odpycha, odręca.

Nieprzyjemnie dotknięty tym widokiem, nie od razu jednak oderwałem wzrok. Czoło wraz z brwiami uniosło się bowiem w górę. Oczy spozierały w oczy.

Drgnąłem ze wstrętu!

Podsiniaczone, w krwawej obwódce, wyblakłe, trupie jamy. Nos siny, usta duże, obwisłe. — Tysiące zmarszczek i fałd.

I chociaż wstyd mi było, że okazałem bliźniemu wstręt zamiast współczucia, nie mogłem przezwyciężyć wrażenia: szybko odwróciłem się do starszuszki plecami.

Ale wtedy właśnie uprzytomniłem sobie jeszcze wyraźniej jej rysy, wyraz jej twarzy, oczy i całą postać.

Zniszczona, przepojona alkoholem, zakrzepla w bólu twarz. Zakrwawione powieki, a wśród nich dwie przyćmione, błędne, przygasłe źrenice. Kolatała się już w nich śmierć. Ale dwie gałki biegały, dając znać o podłemu, psiem życiu.

Wrażenie było nad wyraz przykre. Do jakiegoż upadku i moralnego upodlenia dojść może człowiek! — Oto tania refleksja, która omal każdemu przychodzi do głowy w podobnym wypadku. A wśród za nią inne, ale nie te, budzące odruch współczucia, zrozumienia, pomocy — a egoistyczne, dotyczące własnej osoby, własnego dobrobytu, atawistyczne, obawy wreszcie, aby nie popaść w nędzę, nie żyć, jak taki oto odegnany od wszystkich pies w ludzkim ciecie.

I znów starałem się zapomnieć o przykrem wrażeniu, zwrócić uwagę na coś innego. Ale wrażenie było zbyt silne. Tramwaj mój przeszedł. Spojrzałem na staruszkę, która już do piętnastej czy dwudziestej osoby wyciągała rękę.

To, co spostrzegłem, zdziwiło mnie bardzo. Każdy to samo czynił, co ja. Spoglądał w twarz, szybko odwracał się ze wstrętem — i zapominał. Nikt nie sięgnął do kieszeni, nikt nawet nie zachowywał obojętności. Każdy okazywał brutalnie, bezwzględnie i wyrażenie swój wstręt.

A staruszka nie czekała. Wiedziała bowiem, spodziewała się co ją czeka. Szła do następnej osoby, machinalnie wyciągając dłoń. Ale czyniła to coraz szybciej, bardziej nerwowo. Obwisłe sine usta wykrzywała w rozpaczliwy, obolały grymas. Szepotała, drżąc, te same wyrazy...

Scisnęła mi gardło litość. Poczułem do tych ludzi i do siebie nienawiść. Jak mogłem uczynić jej krzywdę, jak mogą oni wszyscy czynić jej to samo. Kobiety, mężczyźni i dzieci. Kobiety też — wszystkie.

A przecież każdy to widział, iż była zziębnięta i głodna. Szczękała zębami i drżała na całym ciecie. Nie udawała. Bo czyż można udawać na mrozie kilkunastopniowym, mając na nogach podarte trzewki i postrzępione pończochy czy szmaty, przez które prześwituje ciało? Czyż można w takim stanie udawać?

I każdemu z tych ludzi z ulgą zapewne przemknęło przez głowę wzgardliwe słowo, które miało usprawiedliwić i rozgrzeszyć ich wstręt: prostytutka.

Tak, była to zapewne wyrzucona już zewsząd stara, niezdolna nawet do usług, prostytutka. Obity pies, wzgardzony przez wszystkich, odepchnięty, skomlący i zimna i głodu.

Na chwilę znikła mi z przed oczu. Zastąpił ją tłum, zginęła w nim.

Ale teraz już z niepokojem szukałem ją oczyma.

Wreszcie znalazłem. Stała bezradna przy drzewie, z pochyloną białą głową, z której wiatr zerwał strzępy chustki, szamocąc gniewnie kępami siwych włosów.

Pokorna, skulona przylgnęła bezwiednie do drzewa. Po policzku jej płynęły duże, ciężkie łzy. Odegany, obity pies płakał.

I szedłem teraz ku niej, wiedząc, że przecież temi kilkoma papierkami dopomogę jej zaledwie na dziś, może najwyżej na jutro.

Ale szedłem z przeświadczeniem, że idę ku człowiekowi.

A przez głowę przebiegały mi myśli o względnej, bardzo względnej wartości człowieka.

Myślałem bowiem o niej, o tych ludziach i o sobie.

Marjan Uzdowski.

Alfons Allais.

W skórze innego.

Byliśmy właśnie przy deserze, a może nawet przy kawie, a może nawet jeszcze dalej, gdy jeden z naszych gości, okultysta Jan Fourie, ten, którego nazywamy zawsze bardzo uroczyście Sarem Janem Fourie, rozpoczął rozmowę o spirytyzmie. Wszystko co w mieszkaniu mogło uchodzić za stół, poczęło krążyć i kręcić się, jak zwiedłe liście jesienne, a ile szkła i porcelany pożegnało się przy tej okazji z życiem, tego nawet nie wyliczę.

Ja osobiście mało się temi sprawami interesowałem, ti. dopóki szklanka moja była pusta.

Magia, kabała, satanizm, teozofja, erotyzm, ten świat, tańcen świat — to były tematy rozmowy tego wieczoru.

Oczy okultystów błyszczały ogniem, a materialści spokojnie i z zimną krwią wzruszali ramionami. Obojętni zaś zajmowali się przeważnie wlewaniem w gardło licznych irish-whisky i zupełnie byli z tego zadowoleni.

Co do mnie (jeżeli ten szczegół mógłby was interesować) byłem tego wieczoru jednocześnie spirytystą, materialistą i neutralnym.

Bywają dnie, gdy się jest w humorze! Czyżby siła była tylko własnością materji?

I począłem wątpić, przyczem serce me ścisnęło się ze strachu! Niewidzialne, niematerialne i wszędzie obecne!? Co wtedy?

Nowa szklanka whisky uspooiła mnie do pewnego stopnia, gdy tymczasem Sar Jan Fourie rozmawiał o buddyzmie, awatarach i innych rzeczach.

Spokojnie i niewzruszenie utrzymywałem, że można człowiekowi zabrać jego „Ja“ tak jak się zabiera chustkę od nosa! I to „Ja“ może się wałęsać w cudzej skórze, i przeżywać cudze losy.

Wtedy, jeden z materialistów stracił cierpliwość i wrzasnął: — Banda kretyńców! (powiedział nawet coś gorszego). Banda kretyńców! Macie mózgi węgorza albo szprotki! Mądre teorie! Powiedźcie mi prędko, czyżdźwięk wielkiego dzwonu Notre Dame może się przesiedleć w nasz dzwonek stołowy?

Pomiędzy tymi, którzy imponowali nam swym spokojem, ogólną uwagę zwracał nasz pocziwy Harry Covavre, amerykańnik.

Harry zużytkowywał w tej chwili całą swą energję, by przygotować sobie porządną grog, w skład którego wchodziła niewielka ilość cukru i zupełny brak wody.

— A ty, Henryku, czy wierzysz w awatary?

— Jeżeli chcecie mej nagłej śmierci, nie pytajcie się o tę historję. To jest najprzykrzejszy moment w mem życiu!

— ???!!! — krzyknęliśmy zgodnym chórem.

— Na boga, nie mówcie nigdy o transmigracji „Ja“!

— ???!!! — poczęliśmy wszyscy nalegać.

— Tak, jak mnie tu widzicie, spacerowałem kiedyś przez cały dzień w skórze innego człowieka, którego nie znałem ani od Adama ani od Ewy. Myślicie może, że to przyjemna rzecz?

— Opowiedz nam! — prosiliśmy.

I Harry opowiedział.

— Było to rok temu. Tak jak dziś spędziliśmy noc u kolegi. Tak jak dziś rozmawialiśmy o rzeczach nadprzyrodzonych. Kręciliśmy stoły, wywoływałem duchy! Bardzo miłe duchy! Doprawdy, bardzo grzeczne! Pomyślałem sobie, że na tamtym świecie niema żadnych poważnych zajęć, jeżeli takie dostoje duchy, jak Homer, Alcybiades, Juliusz Cezar, Ludwik Filip mogą być ciągle do naszej dyspozycji.

Wszystkie te rzeczy uczyniły na mnie duże wrażenie i nad ranem pożegnałem się dosyć wzruszony tem wszystkim, co widziałem.

Powiedzieć, że nie piłem przez tę noc, byłoby bezwstydnem kłamstwem! To też dziwne uczucie ogarnęło mnie, gdy wyszedłem na ulicę.

Poszedłem ulicą Saint Jacques i znalazłem się przed Morgą. — Wszedłem tam zupełnie machinalnie.

O zgrozo. — Pierwszą rzeczą, którą tam ujrzałem był trup mej kochanki!

Na kamiennych płytach spoczywało ciało mej przyjaciółki, pocziwej dziewczyny, która zdradzała mnie z całym Quartier Latin. Drżący i błądy rzuciłem się do urzędnika.

— Panie — rzekłem — znam tę dziewczynę!

— Pańskie zeznanie jest zbyt cenne, znaleziono przy niej papiery. Utopiła się wraz ze swym kochankiem!

— Ależ to ja jestem jej kochankiem!

— Nie panie, to ten młodzieniec, który leży obok!

Ciekawość wzięła górę i pobiegłem obejrzeć swego rywala.

I oto wiecie kim był mój rywal. Nie, napewno nie wiecie.

To byłem ja!

Stałem i miałem uczucie, jakgdyby mi ktoś rozłupał głowę.

Nieboszczyk, który leżał tam za szkłem, to byłem ja, to było nawet moje ubranie!

Stałem się pozostać spokojnym i rzekłem do urzędnika:

— Jak ten człowiek jest do mnie podobny!

A on roześmiał się tylko i rzekł:

— Tak jak ja do papieża!

Skoczyłem do lustra. Wyglądała z niego obca, blada twarz, z czarnymi faworytami!!

Rzuciłem okiem na swe odzienie i ujrzałem jakiś kraciasty garnitur! Nigdy w życiu nie nosiłem takiego!? Papiery, które znalazłem w portfelu, opiewały na nazwisko hiszpana, którego nigdy nie znałem!

A ja nie rozumiałem ani słowa po hiszpańsku!
 Czy wyobrazicie sobie moje położenie!
 Byłem znużony i senny! Chciałem udać się
 na spoczynek! Ale dokąd?
 Do siebie, czy do niego?
 Do domu mnie nie wpuszczą! A do niego?
 Co powie jego żona? Co powiedzą dzieci? Prze-
 cież nie rozumiałem hiszpańskiego języka.
 Znałem jego adres. Numer domu, numer
 mieszkania. Ale piętro? Czy miałem się pytać
 portjera? Co ja powiem jego żonie? Co powiem?
 Co za okropna sytuacja!

Po namyśle udałem się tam, gdzie często już
 spędzałem noce! Nikt mnie oczywiście nie poznał.
 Ale za to przeróżni ludzie ściskali mi rękę, mówili
 zrozumiiałe rzeczy, a jeden z nich oddał mi nawet
 pięćset franków długu!

Mój boże, mój boże, co miałem uczynić?
 Postanowiłem, że popełnię samobójstwo! Ale
 miałem tyle pieniędzy! Jak tu umrzeć! I dlaczego do
 wszystkich diabłów?!

Jakie to straszne wspomnienia..

Pod wpływem tych strasznych wspomnień, Har-
 ry połknął porządną szklanekę grogu, w której była
 znikoma część cukru, a wody zupełnie nie było.

— A kiedy nareszcie dusza twoja wróciła do
 ciebie? — pytałśmy z biciem serca.

— Następnego rana, gdy wtrzęźwiałem! —
 odrzekł Harry.

Po drogach księżycowych, przez lśniący seledyn,
 przez złotem nabijany słoneczny gościniec,
 błądziłem i szukałem, milczący i jeden,
 jak w litewskich ostępach samotny odynieć.

Przez tunon melawicowy, przez gwiazdny mano-
 wiec,

przez bezdroża umarłych, zimnych mlecznych dróg
 błąkałem się, posępny i smutny wędrowiec,
 szukałem i krzychałem: mój Bóg, gdzie mój Bóg?

Ale głuchy i cichy był niebieski strop,
 milczące zagadkowe jarzenie zodiaku,
 jak wściekły się przewalał zgniły ziemski glob,
 jak ja czekając wreszcie widomego znaku.

Bo Chrystus umarł dawno w męce na Golgocie,
 no dawno się rozsypał w proch szańbiony krzyż.
 i tylko wieże świątli i kopuły w złocie
 w bezlitosnej ironii spoglądały wzwyż.

Obłuda, giełdy, banki i publiczne domy
 zamordowały Boga, lżąc jego katuszy,
 nie pomogły gniące w biljotekach tomy,
 bo każdy zabił Boga w swojej własnej duszy.

Było czarno na ziemi i czarno na niebie
 i słaby się urywał mój ginący krzyk,
 jak kamień spadający gdzieś w tatrzańskim łąbie,
 jak głaz stracony nogą, co w przepaści znikł.

Az otom nagle uszuł w duszy mojej śpiew,
 i wydał się na wszechświat pijany i słodki,
 i był jak mak czerwony, czerwony jak krew,
 a kiedy brzmiał, to rosły w duszy mej stokrotki.

I zrozumiiałem: Bóg to! A więc jeszcze żyje!
 Trzeba Boga pieśniami, trzeba pracą ście —
 i tu, gdzie dzisiaj szatan trjuntalnie wyje,
 jutro Boga zwycięzcy będzie sztandar wiać!

Kazimierz Andrzej Jaworski.

BENEDYKT HERTZ.

Zmija i oszczerca.

(Z bajek Krylowa).

Jest w piekle sprawiedliwość, choć wątpia niektórzy,
 Niech to, co tu opowiem, za dowód posłuży.

Na galową audjencję
 szli zmija i oszczerca przed tron Lucypere.
 Raptem atera.

Pokłócili się w sali ekscelencje.

— Niech mnie waszmość nie wymyja,
 jam tu pierwsza — syknie zmija.

— Mylisz się — rzekł oszczerca — ja tu znaczą
 więcej.

Twe zadło przy języku mym to żart dziecięcy.
 Bo w piekle ten jest lepszy, kto mocniej, kto
 głębiej

człowieka zgnebi.

— Chwalisz się — zmija na to — i że zwinna,
 śliska,

już się do sali przeciska,
 gdy oto sam Lucyper wstrzymał jej zapędy.

— Słuszność — rzekł — jest bez kwestji po o-
 szczerzy stronie,

bo, pomijając wszystkie inne względy,
 zmija zbliża jedynie może ugryźć człeka;
 oszczerca kasa zbliża, kasa i zdaleka;

jad maraz lat dziesiątka sączą jego wiersze....

Ustąp zmijo. Oszczercy w piekle miejsce pierwsze
 przy moim tronie.

Czy powinno być dozwolone przerwanie ciąży

Podczas obrad w wiedeńskim Zgromadzeniu
 narodowem omawiano między innemi sprawę pa-
 ragrafu, przewidującego ostre kary za spędzenie
 płodu. Imieniem klubu socjalistycznego w kwestji
 tej zabierał głos tow. Amalja Zeidel, która o-
 swietliła ją wszechstronnie, podnosząc wszystkie
 względy humanitarności i etyki, które tu wcho-
 dzą w rachubę. Tok jej przemówienia streszcza
 się w następujących wywodach:

„Jest całkiem fałszywe zapatrywanie, jakoby
 socjaliści bronili stanowiska, że należy pozwolić
 zawsze na przerwanie ciąży. Socjaliści zwracają
 się jedynie przeciw taktowi, że ten brutalny i reak-
 cyjny paragraf wymierzony jest wyłącznie przeciw
 kobietom ubogim, przeciw tym, które nie mają
 pieniędzy, by się udać do sanatorium. Socjaliści
 bronią zapatrywania, że powinno być dozwolone
 przerwanie ciąży w pierwszych trzech miesiącach,
 jeżeli jest stwierdzone, że poród zaszkodzi ciężko
 zdrowiu kobiety albo jeżeli ma ona już tyle dzie-
 ci, że to, które przyjdzie na świat, utrudni jeszcze
 bardziej byt materialny rodziny. Cięża powinna
 być również przerwana, jeżeli matka lub ojciec
 są chorzy i chorobę swą mogą dziecku przekazać.
 W latach 1913—1922 umarło nie mniej niż 40.807
 dzieci w pierwszym roku życia. Oznacza to, że po-
 nad 40.000 kobiet, które stały się matkami, mu-
 siało dzieci swoje odprowadzać na cmentarz.

Na klinice zabroniono podjęcia operacji dla
 przerwania ciąży u kobiety chorej umysłowo! Nie
 dozwolono również na operację u kobiety, bli-
 skiej ślepoty i u innej, której mąż jest syfilitykiem,
 a która przeżyła dotąd siedem poronień! Młoda
 dziewczyna, której ojciec jest alkoholikiem, zgwa-
 cona przez brata, została skazana na więzienie za
 spędzenie płodu. Wypadki, dochodzące do wia-
 domości sądów, stanowią znikomy ułamek między
 tymi, które zdarzają się wszędzie i zawsze, choć o
 nich nie wie opinja publiczna.

Zaaje się, że jest to następstwem wojny, iż kobiety nie chcą obecnie wydawać na świat dzieci, gdyż żywo pamiętają, jak podczas wojny 18-letnich chłopców pędzono na rzeź!

Socjaliści żądają, aby lekarze mieli prawo w pewnych wypadkach przerywać ciążę i wyrażają zapatrywanie, że przez to o wiele mniej kobiet będzie umierało. Kobiety w partii socjalistycznej uważają za wielkie szczęście dla kobiety, jeżeli może zostać matką i że życie kobiety jest biedne, jeżeli nie może starać się o swe dzieci. Ale one chcą, aby kobiety, które rodzą dzieci, mogły też te dzieci wychować. Dlatego walczą przeciwko dzisiejszemu porządkowi, który morduje dzieci już w łonie matki. One pragną takiego porządku, w którymby kobieta bez obawy i z radością mogła zostać matką. Tak przedstawia się sprawa, a nie jest prawdą, że socjaliści chcą zniszczyć rodziny. Przeciwnie! Żądają oni zabezpieczenia dzieci i ochrony matek i niemowląt, aby kobiety mogły nie tylko stać się matkami, ale i temi matkami pozostać!

Rozmaitości

Domy w Polsce.

Według obliczeń głównego urzędu statystycznego, na ziemiach Rzeczypospolitej istnieje 613 miast i 12,632 gmin wiejskich. Ogólna liczba budynków mieszkalnych w Polsce wynosi 3,588,208, z czego 466,405 stanowią domy w miastach; 3,086,153 w gminach wiejskich i 45,050 w obszarach dworskich. Na obszarze całego państwa, wynoszącym 386,263 kłm. kwadr., zamieszkuje 27,160,000 ludności, — czyli 703 osób na 1 kłm. kwadratowy. Z tej liczby 18,660,000 osób jest narodowości polskiej. Do innych narodowości zalicza się pozostałe 8 mil. 500 tys. osób. Jeżeli ogólną liczbę mieszkańców podzielimy przez ogólną liczbę domów, to na każdy dom wypadnie podówczas tylko 7 mieszkańców.

Co może być z człowieka?

Część składowe ciała ludzkiego pod względem chemicznym są takie same, jak kurzego jaja. Na podstawie tego powiedzieć można, że zawartość człowieka, lat 35, średniej tuszy, średniego wzrostu równa się 12,000 jajom, lecz bez skorupy. — Gdyby ciało ludzkie przerobiono na gaz, otrzymalibyśmy 54 metrów sześciennych. W ciele ludzkim jest tyle żelaza, że gdybyśmy je sposobem chemicznym wyciągnęli, możnaby zrobić 7 dużych gwoździ. W wytopionego sadła przeciętnego człowieka, możnaby zrobić 1,75 kłg. świec. Węgla człowiek w sobie posiada tyle, iż możnaby z niego zrobić 15 dużych ołówków. Gdyby zebrał wszystek fosfor, jaki się w ciele ludzkim znajduje, starczyłoby go na wyrobienie 80,000 zapalek. Dalej z człowieka można wygotować 20 łyżek soli kuchennej. Gdyby go zaś oddać do cukrowni, to wyrobionoby z niego 50 kawałków cukru. Wyciśnięty przez prasę hydrauliczną, człowiek dałby z siebie 24 kwart wody.

„Bierny czyn“ Indji.

Gdy weźmiemy kartę Azji do ręki, zobaczymy ogromny półwysep Indji, ciągnący się od Afganistanu po Sam, a od północy zamknięty Himalajami. Kraj o dwóch trzecich prawie przestrzeni Stanów Zjednoczonych, a blisko trzy razy od nich ludniejszy. Wśród dzungli, pustyń, bagien i gór Indji w leśnych ostępach i rojnych miastach, żyje przeszło 320 milionów ludzi, należących do dwudziestu szczepów, czterech ras i kilkunastu religii

Indje były krajem tajemniczym od zamierchu do zamierzów. Tam wzięły początek wszystkie prawie znane kultury religijne. Tam dziś jeszcze żyją tradycje dawno zapomnianych umiejętności, których ciekawym choć nieraz wyzyskiwanym pogłosem jest profesja Jogów-Fakirów. I tam odbywa się dziś po wielu wiekach tępego letargu dziwna tajemnica zjednoczenia i rozbudzenia do „biernego czynu“ przeszło 300-miljonowej masy, różnoplemiennej, różnorodnej i różnoprzymiowej, lecz przejętej wspólną fatalistyczną czcią i miłością dla Indji.

Cudotwórca, który budzi, jednoczy i do „biernego czynu“ wzywa, jest Mahatma Gandhi, człowiek tajemniczy, jak jego ojczyzna. „Bierny czyn“ jest jego wynalazkiem, przyjętym zapewne z odwiecznych tradycji tego kraju. Gandhi odbył praktykę zachodniej kultury w południowej Afryce — i tam po raz pierwszy zastosował „bierny czyn“ — to znaczy bierny, na beczynie polegający opór przeciw wszelkim rozporządzeniom obcego rządu. W Indjach taktyka ta stosowana jest od wojny i w rezultacie wydaje skutki tak imponujące, że Anglja stoi bezradna. Bo jak katować lub więzić setki milionów ludzi, odmawiających wszelkiej spółpracy w rządach kraju? I jak rzadzić wbrew takiej doskonałej obojętności rządzonych?

W żadnym kraju eksperyment Gandhiego nie udałby się, prócz Indji. „Bierny czyn“ jest uroczną tajemnicą Indji, jak jest nią Mahatma Gandhi; jak Indje są niezbadaną tajemnicą kolebki ludów, Azji.

Rozwody mnożą się jak grzyby po deszczu.

Jeden z adwokatów specjalistów rozwodowych podał współpracownikowi „Az Estu“ (dziennik budapeszteński), — przyp. Red.) niezwykle zajmujące dane, dotyczące mianu rozwodowej w węgierskiej stolicy, w Budapeszcie. W obecnej chwili znajduje się na wokandzie sądowej 4000 spraw rozwodowych. Małżonkowie rozwodzą się niejednokrotnie po kilku miesiącach wspólnego pożycia, a bezpośrednio po rozwodzie wstępują w nowe związki małżeńskie. Rekord rozwodowy w Budapeszcie osiągnął pewien 52-letni przemysłowiec, który rozwodził się z ósmą żoną i przed kilku tygodniami po raz dziewiąty został szczęśliwym małżonkiem. Epidemja rozwodowa nie jest pozbawiona głębszych przyczyn. Ludzie powoconni są bardzo wrażliwi i nerwowi, usposobienia ich stały się neurasteniczne i kapryśne, predko więc decydują się na tak ważny krok w życiu jak małżeństwo, a jeszcze prędzej czują się nasyćeni i zmęczeni.

Czy można orzeźwić Saharę?

Kwestja nawodnienia Sahary i czynienia z niej urodzajnej krajiny, nie od dzisiaj zajmuje geologów. Znana jest bowiem rzeczą, iż pod powierzchnią gorącego i nieurodzajnego płasku w głębokości 70—100 m. znajduje się obfitość wody. — Wszystkie dotychczasowe wiecenia dały pomyślny rezultat i w żadnym miejscu nie na rałono na brak wody. Charakterystyczne jest jednak rzeczą, iż strumień, buchający z pod ziemi, wydobywa na powierzchnię drobne muszle i inne żyjące stworzonka. Skąd mogły się one wziąć w takiej głębokości? Obecnie przed i wzięte wiercenia dały bardzo znamienne wyniki a bowiem nie tylko muszle, ale i drobne ryby nie narażo do ad kształtu wyrzuciła woda z podziemi. Geologowie twierdzą na zasadzie tego zjawiska, iż pod piaskami Sahary jest podziemne jezioro, które można wykorzystać do nawodnienia pustyń.